

# *PUŻNIKI*

Duża piękna wieś na Podolu inaczej kresy wschodnie. Pięknie bo tu się urodziłam, tu spędziłam moje wczesne dzieciństwo, tu bardzo wcześnie poznałam co to strach, głód, bieda, tu przeżyłam koszmar wojny.

Pużniki, jak wspomniałam była to duża wieś, środkiem kamienista droga, po obu stronach rowy za którymi stały nieduże chatki, kryte w większości słomą. Otoczenie domów stanowiły stajnie, stodoły oraz sady i ogrody. To główna część wioski, która ciągnęła się ok. 2 km. Tereny są tu górzyste, część wioski położona była na tych górkach i w lasach nazywanych przysiółkami. Jeden z takich przysiółków nosił wdzięczną nazwę Gnilec i tam

Walerci i Wujcia Michasia. Dom położony był w lesie należącym do Cioci i Wujcia a w głębi tego lasu znajdował się dom moich rodziców. W dalszej części opowieści wyjaśnię dlaczego nie mieszkałam tam z rodzicami. Za lasem biegła droga do wsi Porchowa a po jej drugiej stronie olbrzymi las państwowy oraz zabudowania sąsiadów: Dzikowskich, Haczkowskich, Malitowskich, Krzywiniów i Kosińskich kuzynów mojego Ojca. Ważnym miejscem we wsi była tzw. Tłoka – kilka hektarów łąk i nieużytków na których wypasano bydło z całej wsi, stał tam również olbrzymi drewniany krzyż, który stoi do dziś. Idąc Dalej przez wieś, za domami stojącymi przy głównej drodze, nieco w dole, był nieduży staw na którym postawione były małe kładki. Na tych kładkach kobiety z całej wsi prały bieliznę i bielily płótna stamtąd również czerpało się wodę i dowoziło w beczkach do domów. Miejsce to zwane było Zagajówką, mieszkali tam Wiśniewscy.

Idąc dalej wchodzimy na duży plac przed sklepem zwanym w czasie wojny „Kooperatywą”, obok stoi budynek murowany, kryty blachą w którym mieści się dwuklasowa szkoła a za nią klasztor sióstr Józefinek. Tuż obok drewniany kościółek pod wezwaniem św. Antoniego. Przy wejściu na plac kościelny stoi murowana

dzwonnica z dwoma dzwonami, a wrogu placu grota kamienna a w niej postać Matki Boskiej Królowej Świata. Za kościołem duży murowany budynek to plebania. Od kościoła prowadzą dwie drogi, jedna na Kluków druga na nowy cmentarz. We ~~wsi~~ Kluków <sup>w 1772</sup> mieszkał brat ojca Jan Jarzycki. Tą też drogą można dojść na Bruszniewskie i tu znowu las i góry w tym lesie mieszkali Chmielowscy i Jaworscy. Zostały jeszcze dwa zamieszkałe pagórki Zagórzanka Dolna i Górna.

Tak mniej więcej wyglądała wieś Puźniki, z jednej strony otoczona lasem z drugiej poletka zbóż, zagony ziemniaków, kukurydzy i plantacje tytoniu. Ziemia tutaj bardzo żyzna i urodzajna, lasy pełne grzybów, poziomek i jagód. Mieszkańcy to prawie jedna rodzina - co druga kobieta to Ciocia a mężczyzna Wujek czy Stryjek. Mieszkańcy to w większości Polacy o czym świadczą nazwiska: Biernaccy, Jaworscy, Jarzyccy, Biskowieccy, Kamińscy, Działoszyńscy, Krzesińscy, Wiśniewscy. Nazwiska świadczą również o tym że są to potomkowie szlachty zaściankowej. W okolicy wsie głównie ukraińskie lub mieszane, Nowosółka skąd pochodzi moja Mama Antonina z Krokoszyńskich Jarzycka, Porchowa, wieś mieszana, Zalesie i Werbka wsie ukraińskie, ale wtedy nie miało to żadnego znaczenia, obie narodowości żyły w zgodzie. Miastem gminnym

był Koropiec a powiatem Buchacz. W Koropcu znajdował się piękny pałac hrabiego Badeni, który stoi do dziś i jest pięknie odrestaurowany.

Mieszkańcy utrzymywali się głównie z rolnictwa. Ci, którzy mieli więcej pola żyli dostatnio ale ci, którzy mieli małe poletka często klepali biedę. Moi rodzice mieli dość duże gospodarstwo, kilka morgów pola, krowy, konie więc do wybuchu wojny biedy u nas nie było.

Nie jestem poetką więc nie umiem pięknie opisać tych terenów ale wierzcie mi moje dzieci choć żyłam tam zaledwie dziesięć lat a na ziemiach zachodnich żyję ponad sześćdziesiąt i dość dużo jeździłam po Polsce, nigdzie nie znalazłam tak pięknego zakątka.

W tychże Rużnikach w 1935 r. 10 sierpnia w sobotę w rodzinie Klemensa i Antoniny z domu Krotoszyńskiej Zarzyckich urodziła się córka, której dano na imię Maria po Babci Krotoszyńskiej i Franciszka po Babci Zarzyckiej. Ale do dziś nie wiem dlaczego wszyscy do tej pory wołają na mnie Nusia. Podobno byłam bardzo niesfornym dzieckiem – już od kołyski. Przytoczę tylko taką historię: jest mroźna zima, mama poszła po wodę, tata karmi bydło, ja śpię. Nagle budzę się i widzę, że nikogo nie ma, długo nie myśląc w koszulce i na bośka biegnę po śniegu do Cioci Walerci jakieś trzydzieści metrów. Mama po śladach zorientowała

się gdzie poszłam i jak tam przybiegła już byłam u Cioci pod pierzyną. Z opowiadań wiem, że tych wybryków było więcej, ale była <sup>m</sup>za mała żeby je pamiętać.

Rok 1939 mam cztery lata, wybuch wojna, w tym wieku nie zdaję sobie sprawy co się dzieje jednak niektóre wydarzenia utkwily mi w pamięci. W pewnym czasie zaczęło przyjeżdżać do nas dużo nieznanym mi ludzi, przeważnie mężczyzn i prosić o nocleg, a nawet coś do jedzenia. Mama i Ciocia Walercia nie odstępowały kuchni gotując i piekąc chleb by nakarmić przyjezdnych. Po kilku latach dowiedziałam się, że byli to ludzie uciekający przed Niemcami na wschód. Ci którzy zdążyli uciekli przez Czerniowce do Rumunii, a potem na zachód Europy a ci którzy nie zdążyli dostali się do sowieckiej niewoli. Pamiętam, jest jesień Ojciec orze w polu ja bawię się na wozie w pewnym Momocie drogą od strony Porchowej słyszemy krzyki i tumak kurzu to nadeszło wojsko sowieckie. Strasznie się bałam i bardzo krzyczałam, chcieli natychmiast zabrać Ojcu konie, ale uprosił <sup>w.t.c</sup>że przyjechaliśmy z eskortą do domu i tam dopiero zabrali konie z podwórka. Nie pamiętam dokładnie daty tego wydarzenia, ale po latach dowiedziałam się, że to sowieci przyszli Polakom z pomocą. Zaczęły się aresztowania, wywózki na Sybir i w Kuźnikach też nadeszły zmiany. Władzę przejęli

ludzie pochodzenia ukraińskiego, półanalfabeci. Szanowani gospodarze prawdziwi Polacy i patrioci nie mieli już nic do powiedzenia bo groził im Sybir. Jeśli kiedyś mieszkańcy żyli w zgodzie i harmonii tak teraz zaczęły się donosy, śledzenia do tego stopnia, że pod dom moich rodziców wieczór przychodzili niektórzy sąsiedzi sprawdzić co się akurat u nas dzieje i z kim Ojciec rozmawia. W tym czasie przebywali u nas brat ojca Antoni z Żoną Wandą i drugi brat Marian. Stryj Antoni był naczelnikiem poczty nie pamiętam tylko czy w Słotwiniu czy w Horodenkach, stryjenka Wanda była nauczycielką a stryj Marian zawodowym wojskowym niestety nie pamiętam w jakim stopniu. Zatrzymali się u nas czekając na przewodnika, który miał ich przeprowadzić do Rumunii gdyż zaczęły się już aresztowania polskiej inteligencji. Najbliżsi sąsiedzi donieśli do władz sowieckich, że moi rodzice ukrywają polskich oficerów. Stryjom udało się na szczęście bezpiecznie przejść granicę. (Mój Ojciec i Wujek Michaś przywieźli cały majątek Stryja Antka a były to bardzo wartościowe rzeczy, spakowane w skrzyniach zamurowali lub zakopali w ogrodzie.) Nadeszła bardzo ostra zima, po Świętach Bożego Narodzenia zmarła babcia Franciszka mama ojca. Nas wnuków nie wzięto na pogrzeb bo było bardzo zimno i dużo śniegu. Minął styczeń i 8 lutego panika i strach, wywożą na Sybir

kolonistów: Kaniów, Krzywiniów, Zapałowiczów i Maślaków. Koloniści byli to gospodarze, którzy przed wojną przyjechali z okolic Krakowa, kupili ziemię w pobliżu Kuźnik, przywieźli ze sobą nawet drewniane domy i mieszkali dość daleko od wioski. Moi rodzice żyli w ciągłym strachu, dochodziły wieści, że będą wywiezieni.

Dzień 13 kwietnia godz. 2.00 w nocy pod dom podjeżdżają trzy furmanki z mieszkańcami Poźnik i uzbrojony sowiecki żołnierz. Wala do drzwi i każą się pakować. Wśród tych, którzy po nas przyjechali był Jan Kret, Michał Hnatiuk, Wasyl Jasiński i Michał Ługowski. Nikt z rodziny nie wiedział co się dzieje, kilkadziesiąt metrów od nas mieszkała siostra ojca Ciocia Waleria. Mama chcąc ją zawiadomić wymknęła się i pobięła jednak spostrzegł ją żołnierz i zaczął strzelać na szczęście nie trafił. Wczesnym rankiem spakowani, pod sowiecką eskortą moja rodzina jechała na Sybir. Jadąc przez wieś ludzie wychodzili z domów i wynosili chleb lub kto miał po parę groszy bo wiedzieli, że jedziemy na zesłanie. Za wsią droga prowadziła przez las, jeden z żołnierzy podszedł do pierwszej furmanki gdyż ugrzęzła w błocie, wtedy z lasu wybiegł kuzyn Ojca Władysław Biskowiecki i zaproponował rodzicom, żeby dali mu dziecko czyli mnie bo jadą na poniewierkę i nie wiadomo czy przeżyją a tak przynajmniej ja się uratuję. Rodzice

się zgodzili i wujek uciekł ze mną do lasu gdzie byliśmy do wieczora. Jak się ściemniło zaniósł mnie do Cioci Walerci i Wujcia Michasia. I tak w jednej chwili zostałam bez rodziny pod opieką krewnych i tu wyjaśniło się dlaczego nie spędziłam dzieciństwa w moim rodzinnym domu. Ciocia i Wujek byli dla mnie bardzo dobrzy, pozwalali mi na wszystko i tolerowali wszystkie moje wybryki, co nie koniecznie zawsze wychodziło mi na dobre. Na przykład moim ulubionym zajęciem było łażenie po drzewach. Całymi godzinami potrafiłam siedzieć na drzewie lub wspinać się po gałęziach jak małpka.

Zaczęła się wojna na dobre, u nas byli sowieci, bałam się ich panicznie. Do władzy dochodzili Ukraińcy dochodziły nas słuchy o dokonywanych mordach na Polakach w Kuźnikach zapanował strach, ludzie zaczęli kopać schrony, my z lasu przeprowadziliśmy się do stryja Mariana, który ożenił się z Domicelą Jaworską. Pamiętam rok 1941 Święta Wielkanocne, Wielka Sobota, Wujek Michaś szedł na Gnilec nakarmić króliki, ja poszłam z nim (była piękna pogoda). Wujek poszedł do królików a mnie kazał podlać kwiaty w mieszkaniu wzięłam naczynie i wyszłam na podwórkowo<sup>PO</sup>wodę a tam pełno sowietów. Ze strachu zaczęłam krzyczeć, przybiegł Wujek jeden z żołnierzy przystawił mu karabin do głowy i zaczął



krzyczeń, że jest szpiegiem. Wujek długo tłumaczył, że to nie prawda, że przyszedł nakarmić króliki, dopiero jak im je pokazał zajęli się ich wyłapywaniem, nam udało się wziąć jednego a było ich ponad 50. Wielkanoc, rano Rezurekcja w domu uroczyste śniadanie po śniadaniu ponieważ była piękna pogoda wszyscy idziemy na spacer. Zdażyliśmy dojsć do końca wsi wtedy padły pierwsze strzały od strony Zalesia (była to wioska położona ok. 3 km. od Puźnik) w stronę Gnilca. W Gnilcu byli Niemcy a w Zalesiu <sup>sowieci</sup> ~~sowieci~~ i tak puźniki znalazły się w środku ostrzału. Ludzie w pośpiechu zaczęli uciekać do lasu, Ciocia i Stryjenka Doma wzięły trochę jedzenia i uciekliśmy do lasu na Bruszniewskie i tam byliśmy całą noc. W drugi dzień Świąt jak strzały ucichły wróciliśmy do domu, we wsi było już wojsko niemieckie, oddział SS. Otoczyli całą wieś i robili łapankę, łapali przypadkowych ludzi nawet 13 letnie dzieci i wywozili całą grupę na przymusowe roboty do Niemiec. Pamiętam lato, byłam w kościele na mszy pod koniec nabożeństwa panika, Niemcy otoczyli wieś. Ludzie w pośpiechu uciekają gdzie kto może, ja biegnę do stryjenki Domy bo mieszkała niedaleko. Stryjenka w domu z malutkim dzieckiem, Stryj uciekł do lasu, kazała mi u nich zostać. Ja jednak postanowiłam pobiec na Gnilec do Cioci Walerci. Przez sady dobiegłam do końca wsi,

zaczęła się otwarta przestrzeń, po jednej stronie tłoka po drugiej pola jeszcze nie skoszonego zboża. Wybrałam drogę przez pole jednak byłam już na tyle duża, że zboże mnie nie zakrywało zaczęłam więc się czołgać i tak dotarłam do domu a tam nie ma nikogo. Pobiełam do lasu i w gąszczach spotkałam sąsiada. Dopiero pod wieczór z różnych stron zaczęli wychodzić ludzie i wracać do swoich domów. Odnaleźli się też Ciocia, Wujek i ich synowie Kazik i Mitek, którzy paśli bydło na szczęście wrócili cali i zdrowi. Dopiero po latach jak sobie przypomnę ten koszmar uświadamiam sobie w jakim byłam niebezpieczeństwie i że czuwała nade mną Opatrzność Boża. Miałam Ne więcej niż 7 lat, kule padały za mną i przedmą, widziałam Niemców stojących na tłoce z karabinami. Takie sytuacje zdarzały się często w lasach było dużo partyzantów więc często dochodziło do większych lub mniejszych starć. W tych lasach ukrywało się też wielu Żydów, również mieszkańcy wioski ukrywali Żydów, było to bardzo niebezpieczne i groziło śmiercią.

W domu Wujcia często była główna kwatera dowódcy niemieckiego i mieliśmy najdłużej krowę bo dowódca co dzień rano wypijał kubek mleka. Pamiętam raz kazał Wujciowi schować krowę do spizarni bo mieli rekwirować bydło. Wujek schował krowę, wojsko przyjechało i kazali wyprowadzać

bydło na plac. Zabierali od tych gospodarzy, którzy mieli mniej niż pięcioro dzieci, ponieważ nasza krowa była bezpieczna ja i dwóch moich kuzynów byliśmy wolni więc pobiegliśmy do sąsiada i ustawiliśmy się z jego dziećmi razem było na siedmioro, krowa została. Pobiegliśmy do następnego i tak samo jednak przy trzecim Niemiec zorientował się że to ci sami i zaczął ściągać pas ledwo zdążyliśmy uciec.

Wujek Michaś też ukrywał Żydów w opuszczonej stodole w gospodarstwie moich rodziców, szczęśliwie przeżyli wojnę ale ja dowiedziałam się o tym dopiero po wojnie.

Wojna trwała, zabierano bydło, zboże dość często zaglądał nam w oczy głód, nie raz jedynym posiłkiem była zupa z lebiody, czasem jakiś litościwy Niemiec dał suchara albo kromkę chleba. Do szkoły chodziliśmy rzadko bo często w budynku stacjonowało wojsko. Wracalam raz z koleżankami ze szkoły nie szłyśmy przez wieś tylko tłoką gdzie pasło się bydło za krzaka olszyny wybiegł chłopiec, trzymał granat i krzyknął – uciekajcie bo rzucę. Ja jak zwykle uciekłam przestraszona a ze mną jedna z koleżanek, ta druga została w tyle granat wybuchł i koleżanka zginęła. My zostałyśmy tylko przysypane ziemią. Chłopak ze strachu uciekł i znaleźli go dopiero po dłuższym czasie. Jako dzieci musieliśmy bardzo uważać na miny i granaty bo były wszędzie.

Na początku wojny nienawidziliśmy Niemców i baliśmy się ich okropnie później byliśmy zadowoleni że stacjonują we wsi bo wtedy mogliśmy spać spokojnie w swoich domach. W tym czasie zaczęły się już napady na Polskie wsie dokonywane przez bandy UB. Bandyci mordowali w bestialski sposób Polaków. Wspomniałam już, że kopano schrony, ludzie chowali się gdzie mogli. My często szliśmy na noc do Stryja Mariana, wiele nocy spędziliśmy w polu lub w jakimś wykopanym dole. Sama wojna była straszna ale tego co stało się po wycofaniu się Niemców nie da się opisać. Niemiec zastrzelił, Ukrainiec zarabiał siekierą. Rok 1944, wiosna, Niemcy zaczynają uciekać w naszym lesie trzymają dużą grupę jeńców rosyjskich na podwórku słysząc jęki i krzyki, wołanie o jedzenie. Nam nie można się zbliżyć pod karą rozstrzelania. Po kilku dniach wieczorem Niemcy uciekają w panice, zabierają ze sobą jeńców, ale po drodze wszystkich zabijają. W nocy zjawiają się Węgrzy nie podobni do żołnierzy, głodni, obdarci, prosili o wodę i jedzenie, odpoczęli chwilę i nad ranem uciekli. Wczesnym rankiem budzi nas Wujek a we wsi już pełno sowietów. Wojsko, pożał się Boże, karabiny na sznurkach, niektórzy na boska. Pierwsze co zrobili to oberwali wszystkie czereśnie tak byli głodni i pytali czy daleko do Berlina. Na naszym podwórku postawili działko, nam kazali

siedzieć w piwnicy. Ciocia zatkała nam uszy bo huk wystrzałów był straszny. Po kilku godzinach przywieźli jeszcze te swoje słynne „Katusze” wtedy rozpętało się piekło i strzelali tak do wieczora. Na drugi dzień rano okazało się, że właśnie przez Puźniki przeszedł front i przesunął się w kierunku Niżniowa i Stanisławowa.

Oto zostaliśmy wyzwoleni przez Armię Czerwoną a jednocześnie zaczęła się dla nas nowa wojna, bardziej krwawa i okrutna od tej z Niemcami. Była to wojna z Ukraińcami z którymi nasi ojcowie siadali przy jednym stole, żenili się i wychodzili za mąż. Teraz musieliśmy chować się przed nimi do mysich dziur, żeby przeżyć. Mówi się teraz, zemścili się za lata panowania „polskich panów” ale ta zemsta była okrutna. Być może trudno w to uwierzyć ale polegała ona na mordowaniu małych dzieci, obcinaniu rąk i nóg i zostawianiu w męczarniach. Grupę ludzi, którzy szli do sąsiedniej wsi na pogrzeb zaatakowali banderowcy, zamknęli w stodole, omotali drutem kolczastym i podpalili. A na to wszystko spokojnie patrzyli nasi wybawiciele czyli żołnierze sowieccy. Nie było żadnej reakcji z ich strony.

W listopadzie 1944 roku dowiedziałam się, że moja mamusia wróciła z Sybiru i jest w Stanisławowie, nie mogłam się doczekać kiedy ją zobaczę i poznam mojego brata Stasia, który

urodził się 14.06.1940 roku na Sybirze. 7 listopada w szkole przygotowania do obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej, wracam do domu, jestem na Tłocce i słyszę ktoś mnie woła: - Nusia, Nusia – to moja Mama i mój brat, radość, łzy wzruszenia, trudno opisać. Mój brat Staszek prosił Ciocię Walerię żeby ugotowała mu wiadro zacierki, bo Mamusia na zesłaniu obiecała mu, że jak wrócę do Polski to ugotuje mu wiadro zacierki i już nigdy nie będzie głodny. Brat dziwił się też dlaczego w Polsce „sobaki” szczekają tak samo jak w Rosji. Ile było radości jak w następną noc uciekliśmy do schronu, ja trzęsłam się ze strachu a brat biegał i cieszył się, że wojna będzie. Mamusia nie mogła pogodzić się z tym, że jak mówiła – „Przeżyłam Sybir, głód i poniewierkę, wróciłam do Polski i mam tu zginąć od siekiery”. Więc po paru miesiącach spakowaliśmy nasz skromny dobytek i wyjechaliśmy do małego miasteczka Koropiec. W mieście było bezpieczniej, tam zamieszkaliśmy u kuzynki mojej Mamy, Cioci Eleonory. Jej mieszkanie znajdowało się niedaleko posterunku policji a w pałacu Badenich stacjonowało wojsko rosyjskie, które to wraz z policją miało tropić bandy UPA. Bardzo często widzieliśmy jak prowadzili banderowców do więzienia, mieli oni na sobie długie koszule ze zgrzebnego płótna, często zakrwawione, przy sobie siekiery, noże, kosy. To

były narzędzia, którymi mordowali Polaków. Policja zamykała ich do więzienia z którego przeważnie w nocy uciekali przy cichym przyzwoleniu sowietów, którzy również chcieli jak najszybciej pozbyć się z tych terenów Polaków.

Dowodem tego był napad na naszą wieś Puźniki 13 lutego 1945 r. Do wsi przyjechali żołnierze rosyjscy zwołali zebranie w szkole pod pretekstem rejestracji osób, które chciałyby wyjechać na ziemie zachodnie. Zapewniali, że ludzie mogą spać spokojnie, nie chować się do schronów bo oni będą czuwać. Około godziny pierwszej w nocy banda UP otoczyła wieś, podpalali domy a kogo złapali w domu lub schronie czy na ulicy bestialsko mordowali. Część mieszkańców przeżyła ponieważ schronili się na plebani gdzie zrobili małą twierdzę do której bandyci bali się podejść. Pomimo tego tej nocy zginęło 130 osób, nie licząc tych, którzy zmarli później na skutek odniesionych ran. O świcie w pośpiechu pochowano wszystkich w zbiorowej mogile. Ci którzy przeżyli opuszczali wieś w pośpiechu zostawiając cały dobytek. Uciekano do miasteczek Koropca lub Buczacza gdyż tam było bezpieczniej a stamtąd wyjeżdżali na zachód. My również zaczęliśmy starać się o wyjazd, lecz pod koniec kwietnia Mama zachorowała na malarię. Niestety lekarz do którego ją zaprowadzono

stwierdził – „Przyprowadzacie mi trupa, tu może pomóc tylko chinina a tej nigdzie nie ma”. O tej sytuacji dowiedział się ksiądz i nie wiem jak, ale przyniósł trochę tabletek. Bardzo powoli Mama zaczęła wracać do zdrowia. W tym czasie w Kościele trwały przygotowania do mojej pierwszej komunii. Dostaliśmy dokumenty potrzebne do wyjazdu, był to pierwszy transport repatriantów z tamtych stron. Władze kazały nam przeprowadzić się do miejscowości Pieszkowce, bo tam mieliśmy czekać na podstawienie wagonów. Nie było tam żadnych zabudowań, jedynie szczere pole i tory. Ludzie budowali szałas z czego popadło i tak koczowaliśmy przez 2 tygodnie ok. 7 km od Buczacza. W ostatnią niedzielę maja był dzień mojej pierwszej komunii, Mama leżała chora więc do kościoła poszła ze mną Ciocia Waleria. W pożyczonej sukience i butach przystąpiłam do sakramentu. Po uroczystości na plebanii dostaliśmy po szklance herbaty i wróciliśmy do naszych szałasów. W poniedziałek wcześnie rano obudziło nas głośnie stukanie, podstawili nam upragniony pociąg. Odkryte wagony towarowe tzw. lory i zaczęło się ładowanie. Każdy chciał jak najlepsze miejsce dla siebie, ludzie brali mnóstwo niepotrzebnych rzeczy: grabie, widły a nawet miotły. Kłótniom nie było końca. Wreszcie wagony załadowane do pełna ludzie na tobołach pod



płachtami z których zrobili schronienie przed deszczem i pociąg ruszył. Nie zapomnę tej chwili do końca życia, ktoś zaczął śpiewać pieśń „Serdeczna Matko”, ktoś inny płakał. Wtedy dziwiłam się dlaczego ludzie płaczą. Później po latach zdałam sobie sprawę jak ciężko było tym ludziom opuszczać rodzinne strony, gdzie żyli od pokoleń, gdzie zostawiali swoje domy, groby bliskich, gdzie żyło się skromnie, ale na swoim. Lecz cóż, kto chciał żyć musiał uciekać. I tak zaczęła się nasza podróż w nieznane. Po drodze minęliśmy Lwów śpiewając „Śliczna gwiazdo miasta Lwowa”, granicę przekroczyliśmy w Medyce i znaleźliśmy się w Polsce. Jechaliśmy dwa tygodnie, brudni, często głodni gdyż zapasy się wyczerpały. Dokarmiali nas często żołnierze polscy. Trzeba było pilnować dobytku bo Rosjanie wszystko kradli.

Dojechaliśmy na teren woj. Zielonogórskiego i tam mieliśmy się osiedlić ale nasz kierownik transportu nie zgodził się na to. Ziemia tam to były same piski, wsie malutkie, rozrzucone po lasach, domy biedne i zaniedbane. Nikt nie chciał tam zostać więc cofnięto transport do Kędzierzyna, tam rozładowaliśmy się przy torach w polu i znowu budowaliśmy szałasby żeby jakoś przetrwać. Tak koczowaliśmy ok. tygodnia. Po tym czasie znowu na pociąg i po paru godzinach jazdy dojechaliśmy

do Prudnika i to był kres naszej wędrówki. Żołnierze pomagali nam się rozładować podstawili furmanki i samochody wojskowe i zawieźli nas do pobliskiej wsi Niemysłowie. Repatrianci zajmowali gospodarstwa w których jeszcze mieszkali Niemcy. Oni czuli do nas nienawiść i trudno im się dziwić tak samo jak my zostali wyrzuceni ze swoich domów i wypędzeni z rodzinnych stron. My jednak nie czuliśmy się winni, to inni za nas decydowali.

Powoli życie się normowało, jedni zrozumieli, że od teraz jest to ich miejsce a inni ciągle mieli nadzieję, że wrócą na wschód. Ci drudzy nie rozpakowywali kufrów i pakunków przez długi lata gdyż mieli nadzieją, że wrócą jak mówili z „wygnania” do siebie. Jak wiemy tak się nie stało, musieliśmy zostać na Śląsku.

Niemysłowie to ładna duża wieś, blisko miasta i żyje się tu zapewne lepiej niż na wschodzie, ale tęsknota za Kuźnikami, Podolem została i nie opuszcza nas przez całe życie.

Starsze pokolenie już prawie całkiem odeszło więc jeżeli po latach wejdziecie na niemysłowicki cmentarz pamiętajcie że nasze korzenie zostały daleko na wschodzie. Na mapie nie ma już wsi Puźniki, Ukraińcy mają wreszcie swoje niepodległe państwo o które walczyli mordując Polaków, wszystko się zmienia. Niech jednak tamte miejsca i ludzie pozostaną chociaż w naszej pamięci.